

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] Było nie więcej niż dwie godziny czasu. Potem wsadzili nas wszystkich na sanie i nocą przewieźli, aż do Horochowa, gdzie czekały już podstawione wagony. Wieźli nas na wschód przez Wilno, widzieliśmy po napisach przez małe okienko. Pamiętam, że było strasznie zimno. To był koniec stycznia, początek lutego 1940 r. i duże śniegi. Droga do Archangielska trwała 3 miesiące, a najtrudniejsze były te długie postoje w szczerym polu przy starczystym mrozie. Z naszej rodziny przeżyli wszyscy, Bóg dał nam siły. Osobiście widziałam jednak, że z wielu wagonów wyrzucali na śnieg, zamrożone na śmierć dzieci, potem jechali po prostu dalej i nikt nawet tych dzieci nie grzebał. Nie wolno było się oddalać, ani opuszczać wagonów. Chodzili i pukali kolbami w drzwi, pytając: „Wście żywy?” , albo: „Nie lizja”. [...] Jadwiga Grusiewicz z d. Rusiecka

WSPOMNIENIA JADWIGI GRUSIEWICZ Z D. RUSIECKA Z KOLONII CZESNÓWKA W POW. HOROCHÓW NA WOŁYNIU 1935 - 1945

Nazywam się Jadwiga Grusiewicz, mam 80 lat mieszkam w Mrągowie, powiat Mrągowo, woj. Warmińsko – Mazurskie. Urodziłam się 22 grudnia 1928 r. w kolonii Czesnówka, ok. 10 km na wschód od Swojczowa. Mój tata miał na imię Stanisław Rusiecki, jego rodzice to Karol Rusiecki i Karolina z d. Bedychaj. Moja mama miała na imię Stefania i była z d. Antoniuk, jej rodzice mieszkali we wsi Twerdynie. Z rodziny Antoniuków pamiętam tylko imię mojego dziadka, któremu było Onufry. Zostałam ochrzczona w kościele w Swojczowie, moim ojcem chrzestnym był Marian Rusiecki, starszy i rodzony brat taty. Tato miał pięciu braci, w tym: Andrzej, Marian, Józef, Bogdan i Marianciu oraz siostra Mania.

Nasz dom stał w środku kolonii Czesnówka, sąsiadami była rodzina Łachowskich, pamiętam jeszcze dzieckiem Stanisława oraz rodzina Nowaczyńskich. Dom był drewniany, dość obszerny, jak na tamte czasy, były dwie stodoły. Tato uchodził za bogatego rolnika, mieliśmy 22 ha ziemi, a na tamte czasy, było to dość dużo. Tato trudnił się także handlem, przeważnie odwoził świnie na targ do miasta Włodzimierz Wołyński. W domu naszym było dużo dzieci, zatem moje dzieciństwo było radosne, miałam pięć siostr. Z pierwszego małżeństwa mamy Stefani, najstarsza była Antonina Uleryk (1923) i Władysław Uleryk (1919). Gdy mama została wdową po pierwszym mężu, który zginął w lesie przyciśnięty drzewem na Czesnówce, mama wyszła za mąż za naszego tatę Stanisława Rusieckiego. Ja byłam pierwszym dzieckiem, drugim Kazimiera (1930), potem urodziły się jeszcze Irena (1932), Zofia i Janina (1936).

Moim najlepszym kolegą z okresu dzieciństwa, byli dla mnie Stasio Łachowski oraz Józio Sienkiewicz, razem chodziliśmy do szkoły do Tumina. Chodziliśmy tam na piechotę, a było około 4,5 km do przejścia. Po dziś dzień pamiętam te wszystkie nasze harce w sadach wiśniowych i jak się nawzajem przemawialiśmy. Śmieję się nawet dziś, gdy wracają we wspomnieniach tamte uroczne dni i gdy wołali na mnie: „bocian”. Mieli do tego zresztą pewne prawo, gdyż na tamten czas, byłam dość wysoka i szczupła. Tuż za sadem przepływała rzeka Turia, woda była czysta i zdrowa i tam jako dzieci, lubiliśmy często przebywać. Piękne tam były oczerety i gęste wikliny, po prostu wymarzony raj dla rozbrykanych podrostków. Blisko były dębowe i brzozowe lasy, a za Turią świerkowe, pięknych grzybów była u nas moc. Po prostu ładna było to okolica, spokojna i cicha.

POBOŻNOŚĆ PROMIENIOWAŁA W NASZEJ OKOLICY

W środku naszej wioski stała figura, jak mawiało się na krzyż, ustawiony był na rozdrożu do Swojczowa i w drugą stronę do Twerdyń. Każdego roku przy tym krzyżu organizowane były majówki. Sprawnym organizatorem tych religijnych spotkań była znana z pobożności Polka, którą zwano Stefanicha. Schodziło się w tych dniach pod krzyż wielu ludzi, niemal cała wieś. Nasza wieś miała na ten czas około 20 numerów i były to rodziny wyłącznie polskie. Pamiętam także, że na majówkach było b. dużo młodzieży i dzieci.

Pobożność ludzi promieniowała w całej naszej okolicy, **ludzie kochali modlitwę i na tamten czas modlitwa, była ważną częścią naszego życia, tamte pokolenia, po prostu żyły modlitwą i pracą.** Nie inaczej było w moim domu. Rano i wieczorem mieliśmy wspólny pacierz i to obowiązkowo całą rodziną. Moi rodzice byli pobożni, byli mocno religijni. Tatuś zawsze pięknie przyjmował księdza. Podobnie nasza rodzina w Swojczowie, jak mogła tak starała się usłużyć kościołowi katolickiemu, począwszy od właściwego, religijnego wychowania dzieci. Dla przykładu najmłodszy brat Mariancio pięknie śpiewał i po temu służył na chórze w kościele w Swojczowie. Miałam może 10 latek, jak raz tam poszłam i zobaczyłam ten chór, złożony z chłopców i dziewcząt ok. 15 osób, po prawej chłopcy, a po lewej dziewczyny. Kościół stał na wzgórku, było około pięciu stopni wysokich, wysoki parkan i dwanaście stacji krzyżowych. Lipy pięknie otaczały kościół i na dziedzińcu i poza parkanem. Ołtarz główny był piękny, złożony i zasłaniany, a wielkim nabożeństwem otaczany był Obraz Matki Bożej Swojczowskiej. W świątyni było dużo miejsca, mogło się pomieścić wielu ludzi, stały ławki drewniane.

Pamiętam swoją I Komunię świętą, była wielka radość w duchu i dość dużo dzieci, około 40-ści. Przeżywałam ją b. osobiście, poza tym naturlanie z mamusią i tatusiem oraz z dziadkami Karolem i Karoliną. Podobało mi się dosłownie wszystko, od oprawy kościelnej i mszy świętej z ks. Jaworskim, przez piękne śpiewy naszego chóru, aż po przyjęcie rodzinne. Był to cały zjazd rodzinny, u babci Karoliny i dziadka Karola. Mieli bowiem duży dom, było to b. blisko kościoła i tam się wszyscy lubili zjechać, by razem poucztować. Natomiast Andrzej Rusiecki mieszkał nieco dalej, tuż przed cmentarzem swojczowskim, który był dość duży, ale dziś nie pozostał po nim nawet ślad. Andrzej miał restaurację i dość bogate gospodarstwo oraz wielodzietną rodzinę.

Pamiętam, że zaraz po mojej I Komunii świętej, była już straszna wojna, może to było zaledwie dwa, trzy miesiące, gdy wybuchła demoniczna w swych rozmiarach i owocach II wojna światowa. Zamieszkałam u dziadków Rusieckich i wychowywałam się wtedy z Piotrunią i Jadwigą, córkami stryja Andrzeja Rusieckiego. Nie było szkoły, były wakacje więc harcowałyśmy po całym Swojczowie i naturlanie na posesji u Andrzeja. Ciocia Bronia nie żałowała nam niczego, a szczególnie słodczy, ale ja najbardziej przepadałam za pieczonymi pierogami z nadzieniem z wiśni, które wypiekała babcia Karolina. Najwięcej hasałyśmy jednak po łące babci Karoliny, gdyż był tam niedaleko las. Zażyłam tam jako dziecko mnóstwo radości i życzliwości, czego nie mogę po dziś dzień zapomnieć.

Pragnę także dodać, że jako dziecko nie pamiętam żadnych, ale to żadnych złych wspomnień wobec miejscowych Ukraińców. Na tamten czas żyliśmy z nimi w najlepszej zgodzie. I wiele razy karmiona przez moją dziecięcą ciekawość, szłam sama do cerkwi, aby zobaczyć jak oni się modlą i jak pięknie śpiewają. Podobały mi się nawet ich obrazy i religijne śpiewy, jako dziecko nie wiedziałam nawet, co to uprzedzenia. Przed wojną rodzice nigdy nie mówili źle o Ukraińcach, nikt by na

tamten czas nie uwierzył, że będą niedługo tak bestialsko mordować niewinnych Polaków i to na tak masową skalę.

NA MROŻNĄ SYBERIĘ I UROKI SOWIECKIEGO RAJU

W końcu września 1939 r. pojechałam jednego dnia z rodzicami na targ do Włodzimierza Wołyńskiego. W drodze spotkaliśmy Polaka Władysława Uleryka, który brał udział w przegranej Kampanii Wrześniowej i teraz wracał z frontu do rodzinnego domu. Mieszkał także na Czesnówce, a niedługo potem tak jak i my podzielił los zesłania na mroźną Syberię. Wiem także, że trafił potem do polskiego wojska, organizowanego na wschodzie przez Gen. Władysława Andersa. Walczył potem w I Dywizji i ostatecznie osiadł w Kanadzie. Zmarł około 5 lat temu, ale wiem także że żyje tam wciąż jego dwóch synów.

Bardzo przeżyłam tę noc, kiedy Sowietci przyszli do naszego domu, by wywieźć nas na straszną Syberię. **Kolbami załomotali do drzwi i gdy tylko weszli do izby, zaraz postawili nas wszystkich pod ścianą w samej bieliźnie, a mamie nakazali zbierać rzeczy.** Byli z nimi Ukraińcy, ale jacyś nam nieznanymi. Sowietci byli dla nas „dobrzy”, mama b. dobrze mówiła po rosyjsku, podobnież tata. Radzili nam byśmy brali ciepłą pościel na drogę i tak dzięki temu przeżyliśmy. Było nie więcej niż dwie godziny czasu. Potem wsadzili nas wszystkich na sanie i nocą przewieźli aż do Horochowa, gdzie czekały już podstawione wagony. Wieźli nas na wschód przez Wilno, widzieliśmy po napisach przez małe okienko. Pamiętam, że było strasznie zimno. To był koniec stycznia, początek lutego 1940 r. i duże śniegi. Droga do Archangielska trwała 3 miesiące, a najtrudniejsze były te długie postoje w szczerym polu przy siarczystym mrozie. Z naszej rodziny przeżyli wszyscy, Bóg dał nam siły. **Osobiście widziałam jednak, że z wielu wagonów wyrzucali na śnieg, zamrożone na śmierć dzieci, potem jechali po prostu dalej i nikt nawet tych dzieci nie grzebał.** Nie wolno było się oddalać, ani opuszczać wagonów. Chodzili i pukali kolbami w drzwi, pytając: „*Wsie żywy?*”, albo: „*Nie lizja*”.

W Archangielsku byliśmy dwa lata, mieszkaliśmy w barakach z drzewa, gdzie sami musieliśmy poutykać dziury w ścianach. Była tam b. duża śmiertelność i już w pierwszym roku wymarło prawie 50 % populacji łagierników. Bogu dziękować trzeba na kolanach, że z naszej rodziny, ten trudny czas przeżyli wszyscy. Już na tamten czas postrzegaliśmy to, jako znak Bożej Opatrzności nad naszą rodziną. W Archangielsku chodziłam do szkoły rok czasu, a następnie wywieźli nas do Saratowa nad Wołgą. To był środek Rosji. Tam pracowałam już w kolchozie, przerzucałam zboże i podkradałam sprytnie, by było co jeść. Tymczasem z naszym tatem Stanisławem nie było dobrze, już w Archangielsku chorował poważnie na płuca, podobnie w Saratowie. Dbaliśmy o niego w tym trudnym dla niego doświadczeniu, a b. chciał jeszcze żyć, by móc wrócić do ojczyzny i umrzeć, już na polskiej ziemi. I rzeczywiście dotrwał do naszego powrotu do Przemyśla w roku 1946. Niedługo później, może to było jedynie rok czasu, jak tatuś zmarł w Hrubieszowie i tam na cmentarzu jest pochowany.

W Saratowie po raz pierwszy **dowiedzieliśmy ze zgrozą, że wszystkie wsie polskie na Wołyniu zostały spalone przez ukraińskich rezunów, a ludność w dużej części, przeważnie b. bestialsko wymordowana.** Wieść przywieziona przez jednego z Polaków, lotem błyskawicy rozeszła się wśród naszych ludzi. Byliśmy tym dosłownie zdruzgotani, czego jak czego, ale tego nikt się z nas nie spodziewał. Z Saratowa po roku czasu znowu wywieźli nas wszystkich do Ałma – Aty do kolchozu „*Bolszewik*”. Dziś po tak wielu latach, na starość sama sobie już nie wierzę, że człowiek to wszystko mógł kiedyś rzeczywiście przeżyć. Trudno to naprawdę dziś

pojąć, tak zwyczajnie po ludzku, że my wszyscy przeżyliśmy, tę syberyjską katorgę i nawet nasz tata, spoczął na polskiej ziemi.

W kolchozie „*Bolszewik*” w Alma – Acie ja i moje siostry znowu poszłyśmy do sowieckiej szkoły. W tym kolchozie pracowali ludzie z wielu narodów, byli tam: Kazachy, Japońcy, Czeczeni, a nawet Rosjanie z Odessy i rosyjscy Żydzi. Polacy byli rozsypani na wielkich odległościach, tak że nie mieliśmy z nimi kontaktu. Tatuś Stanisław i mamusia Stefania ciężko pracowali na polu, były tam duże plantacje buraków. **Bardzo było tam ciężko, głuchy step, susza i mocno doskwierały nam wielkie, stepowe upały.** I poza niepotwierdzoną wieścią od Polaka, którego zesłano do Saratowa w środkowej Rosji, nie mieliśmy żadnych wieści, co dzieje się na naszym rodzinnym Wołyniu. Okrutna prawda o ludobójstwie ukraińskim na Kresach, została nam obnażona po przybyciu w 1946 r. do Przemyśla, gdy ukraińska ludność powitała nas dość wrogo. Ukraińcy mówili do nas już na stacji kolejowej: „*Po co wy tu wróciliście, tu już nie ma co tu szukać!*”. Mój tato odpowiedział wtedy: „*My stamtąd wrócili, ale wy tam dopiero jedziecie i nie wiadomo, czy wrócicie!*”.

UMARLI ZOBOWIĄZUJĄ ŻYWYCH

Tak oto poznaliśmy i osobiście przekonaliśmy się, że już nie jest tak, jak to dawniej między nami było. Już w Przemyślu tato dowiedział się znacznie więcej, jak ukraińscy nacjonaści na potęgę mordowali Polaków. Zaraz i my wiedzieliśmy, gdyż ludzie ze zgrozą opowiadali sobie o tym, co tu się pod naszą nieobecność działo, a działy się rzeczy straszne, po prostu nieludzkie. Krótco potem do Przemyśla przyjechał stryj Marianko i zabrał nas wszystkich do Hrubieszowa. Tatuś otrzymał ledwie 2 ha ziemi i spalony dom w Czerniczynie i niedługo już żył, szybko zmarł. Niestety niedługo po tacie zmarła i nasza kochana mama Stefania i tam jest również pochowana. Zostałyśmy same i jak te sieroty, rozpierzchnęłyśmy się po całej Polsce. Ja trafiłam do Olsztyna na Mazury i tam wyszłam za mąż za Mieczysława Grusiewicza. Zamieszkaliśmy razem w Kętrzynie, a ostatecznie osiedliśmy w Mrągowie, gdzie mieszkam do dziś.

Naturalnie po wojnie wiele razy wracaliśmy do przeżyć z tych dramatycznych lat, szczególnie podczas rodzinnych spotkań i zjazdów. O śmierci dziadków Karola i Karoliny Rusieckich dowiedzieliśmy się właśnie od stryja Mariancia, który nie był wywieziony na Syberię. Był kawalerem i mieszkał w domu dziadków właściwie do końca, do sierpniowej rzezi. Poza tym z rodu Rusieckich z Bożą pomocą, nikt nie zginął, ale z rodzin Antoniuków i Uleryków, tyle było niewinnych ofiar, naliczyłam aż 24 osoby. Do dziś jest mi b. ciężko o tym wspominać, nie mogę jednak zapomnieć i nie chcę, aby Ich ofiara z życia poszła w zapomnienie. Tak to właśnie umarli zobowiązują żywych.

A zatem w ukraińskiej wsi Twerdynie zamordowano dwóch rodzonych braci mamy Stefani, wraz z Ich rodzinami, byli to: Karol Antoniuk oraz jego żona i dwie córki, ale imion nie pamiętam oraz drugi rodzony brat, jego żona i trójka dzieci, których imion również nie pamiętam. Jest mi wiadomo, że zostali zamordowani przez Ukraińską Powstańczą Armię (UPA). W innej kolonii polskiej Ossa, parafia Narodzenia NMP w Swojczowie, został zamordowany niezwykle okrutnie Polak o nazwisku Graniewiecki lat ok. 35 oraz dwie córeczki w wieku 5 i 6 lat. Bandyci przyszli do ich domu nocą i pod przymusem, zabrali wszystkich na wóz drabiniasty. Następnie bez strachu i bez skrupułów jechali z nimi przez całą polską kolonię Ossa i okrutnie męczyli ojca na oczach jego rodziny. Ludzie opowiadali potem sobie, że wykręcano mu ręce i nogi, zadając katowanymi ból niemiłosierny. Tak właśnie nieniekajeni przez innych mieszkańców Ossy zabrali Ich do lasu i z tą chwilą

wszelki ślad po Nich zaginał. Stało się to jeszcze przed ogólną rzezią w sierpniu 1943 r..

Z łaski Bożej Opatrzności Zofia Graniewiecka, tej nocy kiedy przyszli po nich oprawcy, nie spała w domu, tylko w oborze na sianie. Wtem posłyszała hałas, obudziła się, dyskretnie wyjrzała i zobaczyła jak już odjeżdżają z ich podwórza wozem. Na szczęście oprawcy nie byli uparci i nie starali się szukać żony, a matki obojga dzieci. Zdążyła jednak zobaczyć, jak zaczynają męczyć jej męża na wozie i to w obecności małych dzieci. Przerażona tym bardziej się ukryła, a potem uciekła do miasta Włodzimierza Wołyńskiego. Kiedy zaś po pewnym czasie dowiedziała się, że Marian Rusiecki jest w Hrubieszowie, przyjechała do niego i tam właśnie potem z cicią Zosią się spotkałyśmy. Przebieg tych tragicznych zdarzeń jest mi dobrze znany, gdyż ciocia Zosia osobiście opowiadała mi o tym, co się u nich na Ossie w tamtym czasie wydarzyło.

Inną ofiarą tamtych pogromów, była nasza ciocia Mania Siatka lat około 20, zamieszkała również w kolonii Ossa wraz z trójka b. małych dzieci: jeden, dwa i cztery latka. Czas był już b. trudny i jej mąż był już w polskiej partyzantce, pewnej nocy przyszedł i zapowiedział zatem, że na drugą noc zabierze ich wszystkich do lasu. Niestety po jego odejściu, jeszcze tej samej nocy przyszli do nich ukraińscy bandyci i wymordowali całą jego rodzinę, trupy zaś zabrali ze sobą do lasu. Gdy następnej nocy mąż zjawił się w domu, odkrył tylko obfite ślady krwi prowadzące do lasu. I tę historię opowiedziała nam ciocia Zosia Graniewiecka, która całe życie wracała do tamtych zdarzeń, nie znajdując w sercu ukojenia dla swego bólu. Dodawała także, że i ten mężczyzna o nazwisku Siatka, zginał potem w partyzantce.

Wydarzenia na Syberii, w środkowej Rosji i w Kazachstanie odcisnęły wyraźne ślady na całym moim życiu, a potem jeszcze cała ta tragedia naszej rodziny na Wołyniu. To zbyt wiele dla tak młodej dziewczyny, jaką w tamtych latach byłam, ale bynajmniej nie załamalam się. Cały naród się dźwigał po tych bolesnych doświadczeniach i ja się dźwigałam. Nie chciałam żyć tylko przeszłością, byłam młoda i chciałam żyć pełnią własnego życia, a nie tylko wspomnieniami i to tak tragicznymi. Nigdy jednak nie wyrzuciłam ze swego serca tamtych, tak drogich mi osób, tamtych wspomnień, one często do mnie wracały. Pamiętałam o rodzicach, którzy zostali na Zamojskiej Ziemi, pamiętałam o Tych wszystkich, którzy już na zawsze zostali na naszej rodzinnej ziemi na Wołyniu. Na ile potrafiłam zawsze byli obecni w moim sercu i w mojej modlitwie, mieli Oni tam swoje szczególne miejsce, wydaje się, że po ludzku inaczej, po prostu nie można. Człowiek nie może ot tak uciec od swoich przeżyć, które w nim żyją. Trzeba się z tym pogodzić, że to jakby część nas samych, która ma swoje szczególne, niejako nawet arbitralne prawa. Może to i dobrze, nie byłabym sobą, gdybym ot tak wszystko zapomniała. Nie na pewno nie byłabym sobą i w gruncie rzeczy, źle bym się z tym czuła.

Po temu i dziś pragnę, by trwała ta pamięć o tamtych latach, by następne pokolenia Polaków miały tę świadomość, czym tak naprawdę były stalinowskie wywózki na Syberię. Jestem także przekonana, że nie będzie prawdziwego pojednania Polaków i Ukraińców, póki nie będzie znana cała prawda o tamtym ludobójstwie. Trudno jest przebaczyć, ale jeszcze trudniej jest powiedzieć prawdę o tym, co tam na Wołyniu i na całych Kresach się naprawdę wydarzyło. Przy czym przebaczenie jest nie tylko potrzebne, ale nawet konieczne, wcześniej jednak ktoś musi powiedzieć, co tam się stało. Naturalnie **dobrze by było także, gdyby Ukraińcy o takie przebaczenie poprosili, a nie zasłaniali się tezami, że z ich strony też ginęli ludzie. Każdy kto przeczytał choćby jedno uczciwe opracowanie o tamtych wydarzeniach nie ma wątpliwości, kto przede wszystkim powinien prosić o**

przebaczenie. I ja ze swojej strony wybaczam zbrodnie dokonane na tak nam bliskich Karolu i Karolinie Rusieckich z Swojczowa oraz na innych członkach naszej rodziny.

Przebaczyć nie znaczy jednak zapomnieć, pamięć o Tych osobach, tak nam drogich powinna przetrwać w następnych pokoleniach. Dlatego jestem wdzięczna panu Sławomirowi Roch, który 24 lipca 2009 r. odwiedził mnie w moim rodzinnym domu w Mrągowie na Mazurach. Dziękuję Bogu że mogłam raz jeszcze opowiedzieć nasze przeżycia, by tak utrwalone mogły dobrze przysłużyć się następnym pokoleniom. Owoc naszej wspólnej pracy, wspomnienia w powyższym wymiarze, spisane i opracowane, zostały mi przesłane na adres w Polsce. A po zapoznaniu się z ich treścią, pragnę potwierdzić ich prawdziwość własnoręcznym podpisem.

Jadwiga Grusiewicz

STRZEŻ SIĘ BYŚ NIE ZAPOMNIAŁ.....

Spieszmy się kochać ludzi, gdyż tak szybko odchodzą....., pisał przed laty ks. Jan Twardowski. Często i ja pochylam się osobiście nad głębią i pięknem tej poetyckiej frazy, szczególnie zaś, gdy sam rozmyślam, jak wielkim darem jest każdy człowiek, jak bardzo jest niepowtarzalny. A przy tym wszystkim, jakże b. realne są te słowa. Oto 30 lipca 2012 r. otrzymałem maila od pana Jerzego, w którym pisał: *„Witam serdecznie Pana, tak niewielu Wołyniaków przeżyło te masakry. Mój dziadek ś.p. Marian Rusiecki, moja babcia ś.p. Czesława Marcelina Rusiecka z d. Buczek, pochowani są na cmentarzu w Hrubieszowie. Jak moi dziadkowie jeszcze żyli, to opowiadali mi o tym, co przeczytałem w opublikowanych przez pana dowodów w postaci świadectw ludzi, którzy przeżyli. Od mojej mamusi Zuzanny z d. Rusiecka wiem że żyje tylko garstka ludzi, świadków tamtych zdarzeń. Ale z racji wieku ciężko im się z kimkolwiek spotykać. Nie wiem czy spotkał się Pan z najstarszą córką Andrzeja Rusieckiego, która mieszka w Warszawie i spisywał Pan jej losy? Od mojej mamusi wiem, że fizycznie nie jest w najlepszej formie, ale umysłowo i pod względem pamięci nie jeden młody może się schować. Oby Matka Boża Swojczowska, jak najdłużej raczyła zachować w zdrowiu naszą rodzinę i pozostałych Wołyniaków oraz w swojej opiece. Pozdrawiam.”*

I oto już 07 sierpnia 2012 r. otrzymuję maila, w którym ten sam pan Jerzy pisze do mnie: *„Witam serdecznie Pana, czas jest nieubłagany i każdy zostanie rozliczony za swoje czyny, jeśli nie on to jego rodzina i późniejsze pokolenia, piętno pozostaje na zawsze. Z bólem i przykrością muszę Panu przekazać, że 01 sierpnia 2012 r. zmarła najstarsza córka Andrzeja Rusieckiego. Zosia miała 92 lata. Tak szybko odchodzą ludzie, spieszmy się ich kochać. Uczmy się wybaczać, ale nie zapominajmy. Ocalmy od zapomnienia, to co jeszcze możemy, to co straciliśmy bezpowrotnie. Pozdrawiam.”*

Nic dodać, nic ująć, po prostu ocalić jeszcze to, co można jeszcze ocalić od zapomnienia, zanotować, spisać i przekazać następnym pokoleniom. Ten prosty plan, który skreślił w swoich mailach pan Jerzy, jest dla nas potomków Kresowian jasny i bezcenny, a podołać mu może każdy, jeśli tylko szczerze tego pragnie. Fraza zaś wiersza ks. Jana Twardowskiego, po prostu znakomicie oddaje klimat, dramatycznie wpływającego czasu. A jednak wielkich dzieł Bożych nie zapominajmy. Oto bowiem sam bł. Jan Paweł II w swojej poezji, zagrzewa nas wszystkich, także Kresowian do nieustannego czuwania, oraz do dziękczynienia, gdy wołał pielgrzymując po ojczystej ziemi: *„Bogu dziękujcie, ducha nie gościę.”*. Nie darmo nasz wielki rodak, przecież pisał w Tryptyku Rzymskim, myśląc zapewne o każdym z nas: *„Zatrzymaj się, to przemijanie ma sens, ma sens.”*

Dziś raz jeszcze przeżywamy niejako narodowe rekolekcje, gdy Kościół katolicki w Polsce i Cerkiew prawosławna w Rosji, razem zgodnie mówią o tak potrzebnym przebaczeniu i wzajemnym pojednaniu, dwóch słowiańskich narodów. Czas i przyszłość odsłonią owoce i po tych owocach poznamy Boży zamiar, tego ważnego kroku naprzód. Bogu dziękować trzeba nie odejmując przy tym, pamięci i szacunku Tym wszystkim, którzy poprzez tak wiele wieków cierpieli, a nawet oddawali swoje życie w służbie umiłowanej ojczyzny. **Tak wiele pokoleń przelewało krew, tak wiele cierpiało kazamaty, kajdany i syberyjskie mrozy, a nikt nie doświadczył tego tak dobrze, jak właśnie Kresowianie.** Wystarczy wspomnieć wiek ostatni, którego symbolem najwymowniejszym jest Katyń i bezkresy syberyjskiej tajgi. Dla przykładu kłaniają się, bezcenne pozycje: pana Gustawa Herlinga-Grudzińskiego: „*Inny świat*” oraz pana Józefa Czapskiego: „*Na nieludzkiej ziemi*”. Gdy wspominam: „*Inny świat*” z tej znakomitej lektury szkolnej, pomimo upływu czasu, po dziś dzień mam przed oczyma, żywy obraz męki i ogromnej ofiary naszych rodaków na terenach rozległej Rosji. **Jak można bowiem zapomnieć transport polskich rodzin, w którym po dotarciu na miejsce i po otwarciu drzwi wagonu, kilkadziesiąt osób stanowi jedną, wielką bryłę lodu?** Bryłę tę inni więźniowie muszą potem godzinami rozrąbywać, gdyż nikt inaczej nie mógłby opróżnić potrzebnego wagonu, jak można zapomnieć? W tym wagonie nie przeżył nikt, a ile takich wagonów było?

Zesłań na straszną Syberię nasz waleczny naród doświadczał, już od pokoleń, tak było po wszystkich Powstaniach Narodowych. Takie są nasze ojczyste dzieje, ale każde z tamtych pokoleń Polaków rozumiało, że pamięci o Nich wszystkich trzeba strzec i nie wolno zarzucić, zapomnieć, oby nasze i następne pokolenia Polaków nie okazały się gorsze, tym bardziej wyrodne. Ponadczasowo zapisał to wieszcz narodowy Adam Mickiewicz w *Dziadach* w Scenie 1, gdy w usta Jana Sobolewskiegołoży te słowa:

*„[...] Uważałem na więźnia postawę i ruchy: -
On postrzegł, że lud płacze patrząc na łańcuchy,
Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył.
A wtem zacięto konia, - kibitka runęła –
**On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła”, -
Wpadli w tłum; - ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną,
Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza
I wystaje z czarnego tyłu głów natłoku,
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszczą,
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,
I zostaną w mej myśli, - i w drodze żywota
Jak kompas pokaże mi, powiodą, gdzie cnota:
Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie. – [...]**”*

ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Pożyteczna praca zawsze przynosi błogosławione owoce, a jednym z pierwszych jest radość. W poł. Września 2012 r. osobiście telefonowałem z Glasgow ze Szkocji do pani Jadwigi Grusiewicz w Mrągowie na Mazurach. Moim

pragnieniem, ale i obowiązkiem, było sprawdzić, czy opracowane i wysłane na adres domowy wspomnienia, dotarły do autorki oraz, co najważniejsze, czy uzyskały naturalnie akceptację. Pani Jadwiga w szczerzej i b.ciepłej rozmowie, gorąco dziękowała mi za wykonaną pracę, trud i włożony wysiłek. Była przy tym niewymownie wdzięczna, że znalazłem czas, aby przybyć na Mazury, wysłuchać jej osobistych wspomnień sprzed lat i by po latach, opracować całość wraz ze zdjęciami, a teraz przesłać na jej na adres domowy. **Jak podkreślała w rozmowie pani Jadwiga dla niej, to wielka i b. cenna pamiątka tym bardziej, gdy pamięć coraz słabsza i coraz trudniej wszystko spamiętać, jak to bywało za młodu.** Ale o tym już nie zawsze chcą pamiętać kochane pociechy, które sądzą że babcia zawsze ochoczo i z wielką dokładnością opowie, jak to dawniej bywało na Wołyniu i co właściwie zesłańcy przeżyli na Syberii.

Dlatego cieszy to, że tak wiele relacji, już opublikowano, jak choćby pani Petroneli Władyga – Rusieckiej ze Swojczowa, liczące 68 stron. Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w Internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nasyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, podczas ostatniej II wojny światowej.

Powyższe wspomnienia pani Jadwigi Grusiewicz z d. Rusiecka zostały opracowane na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to, więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób także, gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego krzyża katolickiego na swojej, jakże często zapomnianej już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch